

Przemysław Łonyszyn

Instytut Studiów Regionalnych w Szczecinie

E-MAIL: lonyszyn@onet.eu ORCID: 0000-0001-7732-5629

Opowieść o ludziach, którym zatrzęsa się ziemia

STRESZCZENIE

Akcja Wisła to wydarzenie w historii powojennej Polski wyjątkowe. Z różnych powodów. Na pewno jednym z nich jest fakt, że wciąż rany po tych wydarzeniach się nie zabiły i nie sposób rozmawiać o tym, co stało się w Bieszczadach w drugiej połowie lat 40. ubiegłego wieku w sposób pozbawiony emocji.

Niniejsza opowieść nie jest opowieścią historyczną, ale opowieścią o opowieści. Mówiąc precyzyjniej, jest opowieścią o pisaniu książki opartej na opowieściach. Odsłania to wszystko, czego normalnie czytelnik książki nie widzi.

Bohaterami książki byli przesiedleńcy w ramach Akcji Wisła, ich indywidualne historie, wrażenia odczucia i problemy, jakie spotkały ich na Ziemiach Odzyskanych. Bohaterem niniejszej opowieści jest autor książki wraz z jego przeżyciami.

Opisana poniżej opowieść nie jest faktograficzna, choć wszystkie wydarzenia są autentyczne. Posiada jednak pewne zamierzone odstępstwa, aby lepiej budować emocje u odbiorcy. Czy stanowi zatem dopełnienie książki z historiami przesiedleńców? Na to pytanie każdy będzie musiał odpowiedzieć samodzielnie.

SŁOWA KLUCZOWE: Ziemie Odzyskane, wspomnienia, Bojkowie, Łemkowie, przesiedleńcy, Bieszczady

Zapewne wam też się zdarzył nie jeden raz taki dzień, gdy ktoś puka do drzwi, a wy zastanawiacie się, czy otworzyć czy nie. Fajnie się siedzi, toniecie głęboko we własnych myślach i nagle jakiś intruz postanawia zapukać do drzwi i wyrwać was z tej błogostanu. „Na złość nie otworzę” to zwykle pierwsza myśl. Potem pojawia się lenistwo. Później „o co może chodzić?”. Im te rozterki trwają dłużej, tym większe prawdopodobieństwo, że ten intruz sobie pójdzie.

Zwykle w książkach taki moment decyduje o losie głównego bohatera, a przynajmniej gdy otworzycie drzwi. Ze mną było podobnie, chociaż intruz nie pukał do drzwi, ale zadzwonił – przypadek naszych czasów. Jakby się tak zastanowić, to do pukanie do moich drzwi słyszę tylko podczas Halloween. Żadnej pięknej sąsiadki proszącej o pomoc. Żadnego zbłąkanego wędrowca. Żadnej Carrie-Anne Moss szukającej komputerowego geeka. Już nawet listonosz nie puka, tylko wrzuca list do skrzynki.

Skoro jednak mamy XXI wiek, to rozmowa, która miała zmienić moje życie, odbyła się przez telefon komórkowy. Gdy dzwonek wybił mnie z zadumy, to oczywiście zerknąłem, czy telefon zidentyfikował dzwoniącego. Rezultat był negatywny. Numeru nie było w książce adresowej. Co robicie w takich sytuacjach? Ja zwykle nie odbieram. Jak komuś zależy, zadzwoni drugi raz. Czemu więc tym razem odebrałem? Nie wiem do tej pory. Stało się, jak się stało.

– Tak? – rzuciłem do aparatu.

– Cześć, Przemek – po drugiej stronie odezwał się kobiecy głos. – Czy mógłbyś przyjechać do muzeum? Pan wójt ma dla ciebie propozycję.

Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, że w małych gminach powoływanie się na wójta czy jemu podobną personę jest kluczem sukcesu w niełatwych rozmowach. Wójtowi i plebanowi wszak się nie odmawia. Czy na mnie też do działa? Wtedy jeszcze działało. Umówiłem się na spotkanie dwa dni później.

Muzeum zwykle kojarzy się z wielkim budynkiem. Czasami starym, wciśniętym gdzieś między stuletnie kamienice, czasami zaś nowoczesnym stojącym samotnie, otoczonym bezużytecznym, wybetonowanym placem, bo akurat taką wizję miał architekt, a władzom samorządowym nie przeszkadzało wycięcie kilkuset rosnących tam wcześniej drzew.

Tymczasem nasze muzeum jest zupełnie inne. Wygląda raczej jak budynek wypisz wymaluj z ilustracji książki dla dzieci. Wciśnięte pośród drzewa byłoby prawie nie do dostrzeżenia z ulicy, gdyby nie łódź stanowiąca bramę wejściową. Łódź jest przepołowiona, niczym okręt rzucony na skały przez sztorm na Bałtyku. Stanowi zapowiedź tego, co odwiedzający odnajdzie po drugiej stronie.

Nie, wcale nie chodzi mi o to, że wewnątrz zastaniecie sztorm. Przeciwnie. Panuje ład i porządek, jak w każdym rzadko odwiedzanym miejscu – taki los małych muzeów. Chodzi mi raczej o sprawy związane z morzem. Pośród licznych eksponatów można wewnątrz zobaczyć sieci, węcierze i inne dawne narzędzia połowowe. Gdy wejdziemy po skrzypiących, drewnianych schodach na poddasze, w półmroku przypominającym kapitańskie kajuty XVII-wiecznych statków, możemy obejrzeć locje, naktuzy czy sekstanty, a także niezliczoną ilość bursztynu.

Tego dnia nie dla eksponatów przybyłem do muzeum, ale na spotkanie w sprawie tajemniczej propozycji.

Wszedłem do niewielkiego biura na poddaszu, skąd był dobry widok na skansen łodziowy na posesji należącej do muzeum. Latem to ulubione miejsce zabaw dzieci, które wdrapują się i zeskakują z poszczególnych żół-

tych łódek służących kilka dekad wcześniej rybakom na Bałtyku i Zalewie Szczecińskim.

Pani dyrektor powitała mnie kawą i uśmiechem, po czym przeszła do konkretów.

– Pan wójt ma pomysł, aby stworzyć książkę, która upamiętniałaby rocznicę przybycia do gminy Rewal osób wysiedlonych w ramach Akcji Wisła. Przez wiele lat temat był pomijany na kartach polskiej historii, ale może nadzedł ten czas, aby zacząć o tym pisać i mówić. I to mówić prawdę. Chciałabym, podobnie jak pan wójt, abyś to ty był autorem takiej publikacji. Masz doświadczenie, znasz ludzi, oni znają ciebie. Powinieneś sobie poradzić.

– Rozumiem, że fakt, iż moi dziadkowie to też przesiedleńcy w ramach Akcji Wisła, był przez was brany pod uwagę? – odrzekłem bez chwili zastanowienia.

– Tak, choć nie był decydujący.

Nie wiem, czy była to szczerza odpowiedź, ale w sumie, jakie to miało znaczenie. I tak wizja zmierzenia się z historią moich przodków wydawała się być na tyle intrygująca, że nie zamierzałem marudzić. Mimo to kilka pytań cisnęło się na usta.

– Czy mieszkańcy wiedzą o tym pomysle?

– Jeszcze nie.

– Wiesz na czym polega problem. Pustkowo jest podzielone. Oni od dawna byli podzieleni, a sprawa tej tablicy pamiątkowej tylko rozgrzebała stare podziały. Co by nie mówić, to jednak tam trafili głównie przesiedleni. W latach 40. mieszkały tam tylko osoby z Akcji Wisła. Teraz też trudno znaleźć tam kogokolwiek, kto nie byłby związany rodzinnie z tamtymi czasami. Jeśli oni się nie zgodzą, to tak książka okaże się porażką.

– Wierzymy z panem wójtem, że sobie poradzisz – usłyszałem w odpowiedzi.

Wyszedłem z budynku narajany pomysłem i przerażony potencjalnymi trudnościami. Aby było jasne, książek historycznych nie pisałem wcześniej. Jedyne powieści czy przewodniki turystyczne. Miało to być kolejne nowe doświadczenie w moim życiu. Kolejne, bo tak to już w moim przypadku jest, że takie wyzwania motywują mnie do działania.

Pomysły czasami kiełkują powoli. Najpierw pojawia się niewielka idea, która później rozwijana i modyfikowana przeistacza się w finalny efekt, który urzeka lub denerwuje. Czasami zaś pomysły pojawiają się nagle i wystarczy kilka drobnych korekt, by osiągnąć oczekiwany cel. Oczywiście cały czas

nie opuszcza nas natrętna myśl, że to nie może być takie łatwe, że przecież wszyscy wokół powtarzają, jak trudno jest znaleźć to idealne rozwiązanie. Tymczasem w tym przypadku wszystko pojawiło się tak nagle i choćby nie wiem jak odganiać tę natrętną myśl, to i tak ona pozostaje.

Jak się zapewne domyślicie, w moim przypadku wydarzyło się to drugie. Pomysł na to, jak napisać książkę o Akcji Wisła nie będąc historykiem, pojawił się nagle. Już nawet nie wiem, czy przy jedzeniu, czy podczas jazdy autem, ale pojawił się kompletnie znikąd. Pamiętajcie, że presja była duża. Gdy przyjeżdża ktoś z zewnątrz, aby napisać jakąkolwiek publikację na temat lokalnej społeczności, to potem wyjeżdża i bez względu na to, co napisze, i tak reakcja bohaterów nie będzie dla niego uciążliwa. Gdy jednak piszący jest insiderem, to sprawy mają się zupełnie inaczej. Napisanie czegokolwiek o ludziach, z którymi ma się kontakt na co dzień, będzie się potem ciągnęło do końca żywota autora w rozmowach z sąsiadami, w sklepie, w urzędzie czy na ulicy. Zatem książka o Akcji Wisła musiała być wyjątkowo dobra, abym miał jeszcze potem jakieś życie w swojej gminie.

Pomysł, który się pojawił w mojej głowie, był rewelacyjny w swej prostocie. Zamiast robić podręcznik o historii, wystarczyło napisać o ludziach, którzy tę historię tworzyli. Kilka, może kilkanaście rozmów ze świadkami tych wydarzeń zapisane w formie wspomnień, czyli w pierwszoosobowej narracji, powinny umożliwić czytelnikowi poczucie tych samych emocji, a przynajmniej ich namiastki, bez wnikania w szczegóły historyczne. Zważywszy na upływ czasu i znajomość ludzkiej pamięci, która potrafi płać przeróżne figle, próba doszukiwania się absolutnej prawdy byłaby skazana na porażkę. A tak to sami uczestnicy opowiedzą o tym, jak to wyglądało. Przy odrobinie szczęścia opowiedzą o wydarzeniach powszechnie nieznanym.

Pomysł spodobał się zleceniodawcom i na taką koncepcję zgodziliśmy się podczas podpisywania umowy. Wystarczyło teraz odnaleźć żyjące osoby przesiedlone, porozmawiać z nimi, nagrać, a potem z przepisanych wypowiedzi stworzyć tekst, który zachwyci czytelników. Bułka z masłem, orzechowym masłem. Tak naprawdę, to było nadspodziewanie trudne zadanie, ale gdyby było łatwe, to pewnie nie byłoby tej historii.

Jedną rzecz musimy sobie wyjaśnić. Współczesny literat-detektyw to nie jest ktoś w stylu Autora Widmo czy Deana Corso z filmów Romana Polańskiego. Nie spędza godzin przed maszyną do pisania, ani nie lata po świecie w prochowcu ze skórzaną tołą przewieszoną przez ramię.

Współczesny poszukiwacz historii to zwykły, niewyróżniający się z tłumu śmiertelnik, który świetnie odnajduje się w przepastnych czeluściach inter-

netu i jest w stanie stamtąd wydostać każdy szczegół. Za najlepszego przyjaciela ma nieodłączny laptop, a za przewodnika smartfon. Zero romantyzmu? Niekoniecznie, bo jednak ów romantyzm tkwi w poszukiwaniu, a nie w wyglądzie. Tkwi w cierpliwości, nieustępliwości oraz radości z odkrywania czasami mało istotnych faktów. Częstokroć okupiony jest bezsennymi nocami lub niezadowoleniem przyjaciół, że przeczesywanie jakiegoś archiwum może być bardziej zajmujące niż czyjaś impreza urodzinowa.

Można zatem stwierdzić, że tacy ludzie nie noszą prochowców, nie wyróżniają się w tłumie, nie rozstają się z laptopem i są niereformowalnymi romantykami. Wypisz, wymaluj cały ja. I taki opis musi wam wystarczyć, jeśli mój wygląd was w jakikolwiek sposób interesuje.

Poszukiwania informacji do publikacji zacząłem od wizyty w Białej Górze, nieopodal Międzyzdrojów. Miejsce jak z typowych produkcji hollywoodzkich – trafić tam nie jest łatwo. Pośród gęstych lasów i pagórków na krętej drodze niewielki drogowskaz jest praktycznie niewidoczny dla kierowców jadących od strony Parku Narodowego. Tabliczkę ze strzałką dostrzegłem dopiero nadjeżdżając od strony Międzyzdrojów. Od głównej szosy na teren nadmorskiej osady wiedzie wąska leśna droga. Gości wita szlaban, na szczęście podniesiony do góry i wysokie ogrodzenie zwieńczone koncentryną. Czy ja aby na pewno dobrze jadę? Upewniam się zerkając na nawigację w telefonie. Potwierdza, że jestem blisko celu. Jadę dalej. Jedyna możliwa droga prowadzi mnie na duży plac otoczony z każdej strony niewysokimi budynkami. Zagdaka rozwiązana. Układ i typ zabudowy wskazują wyraźnie, że to teren byłej jednostki wojskowej. Stąd szlaban i zasieki. Budynki stanowiły pewnie koszary, zaś plac służący obecnie za parking, wcześniej służył do zbiórek dla żołnierzy.

Archiwum Państwowe umieszczono w jednym z budynków. Pozostałe służył jednemu z polskich uniwersytetów. Pracownicy archiwum powitali mnie z radością, bo to jakieś urozmaicenie w ich pracy. Na kartach poszczególnych pozycji widać było zwykle co najwyżej dwa nazwiska. Jedno z nich dobrze mi było znane. To kolega z Niechorza, który z lubością przekopywał dokumentację z wczesnych lat powojennych.

Co mnie sprowadziło do tego miejsca? Księgi meldunkowe. Dzięki władzy komunistycznej mamy w Polsce obowiązek meldunkowy. Utrapienie dla obywateli, jednak dla odkrywców historii gratka to nie lada. W księgach zapisana jest przy konkretnym adresie każda przybyła do danej miejscowości osoba. Musiałem teraz przekopać księgi wszystkich miejscowości gminy Rewal i sprawdzić po dacie i miejscu wyjazdu, kto mógł zostać przesied-

lony w ramach Akcji Wisła. Brzmi banalnie, prawda? Rzeczywistość weryfikuje moje oczekiwania. Księgi meldunkowe za lata 40. i 50. były odtwarzane. Co to znaczy? Spis meldunkowy był realizowany przez urzędników w drugiej połowie lat 50. a wydarzenia wcześniejsze były uzupełniane na podstawie zebranych przez urzędnika informacji. Czasami pojawiał się taki gąszcz skreśleń i podkreśleń, że trudno było ustalić wersję ostateczną. Nie było wówczas korektorów, a urzędnicy nanosili wszystko długopisami lub ołówkami. Na szczęście dla mnie ważne były nazwiska, które później miały posłużyć do dalszych poszukiwań. Ustalanie, kto z kim zamieszkał, bo się już na miejscu coś nie spodobało, na tę chwilę było poza moimi zainteresowaniami.

Oczywiście, nim otwarto przede mną drzwi do bardzo widnej i ze smakiem zrobionej czytelnicy, musiałem podpisać całą masę klauzul, które nie pamiętam już czego dotyczyły. Pamiętam tylko tyle, że wszystko, co zostanie mi pokazane, ma służyć wyłącznie naukowym celom. Jasne, że naukowym. A co ja tam dla przyjemności przyjechałem? Jakbym nie miał alergii na kurz, to może, ale ponieważ mam, więc mimo wszystko do archiwum to ja tylko w rękawiczkach.

Wyjazd okazał się udany. Pozwolił ustalić, kiedy trafili tutaj przesiedleńcy oraz do jakich miejscowości. Okazało się, że większość przybyła z jednego z pierwszych transportów w pierwszych tygodniach trwania przymusowych wysiedleń. Teraz pozostało tylko trafić do właściwych osób i przekonać, żeby chcieli ze mną porozmawiać. Choć spodziewałem się, że nie będzie to łatwe, to jednak nie przewidziałem skali oporu.

W małych miejscowościach życie toczy się na trochę innych zasadach i trzeba być świadomym tego. To nie jest tak, że przyjdzie pierwszy lepszy koleś, zacznie zadawać pytania i nagle cała wieś ochoczo zacznie z nim rozmawiać. Jeśli już coś mieliby zrobić ochoczo, to dać do zrozumienia, żeby brał tyłek w troki.

Najlepszym pomysłem jest odnalezienie liderów danej wspólnoty. Zwykle są to sołtysi. Jednak w przypadku miejscowości takich, jak Pustkowo, sołtys reprezentował tylko jedną część mieszkańców. I tu nadszedł odpowiedni moment, by udzielić pewnych wyjaśnień, o których akurat z grubsza wiedziałem, a szczegóły poznałem na przestrzeni kolejnych kilku miesięcy prac nad książką.

Dla osób, które zostały wysiedlone w ramach Akcji Wisła było to upokarzające przeżycie. Mieli góra dwie godziny, by się spakować, a następnie pod eskortą uzbrojonych żołnierzy maszerowali po kilka, kilkanaście kilometrów do najbliższej stacji kolejowej. Tam czekały na nich wagony, które miały ich

wywieźć w nieznaną bez możliwości powrotu. Niektórzy nigdy tego nie zaakceptowali i tęsknota do rodzinnych ziem była bardzo silna. Inni się pogodzili z sytuacją, a przesiedlenie na tereny znacznie lepiej rozwinięte pod względem infrastruktury stanowiło niemal dar z niebios. Jak się okazuje, choć upłynęły od tego czasu dekady, nie udało się znaleźć nici porozumienia między tymi przeciwstawnymi punktami widzenia. Stąd w wielu miejscowościach, w tym także w Pustkowie, odrębne grupy społeczne miały swoich liderów. Dlatego czekały mnie dwie rozmowy, a nie jedna.

Obie rozmowy z liderami grup z dwóch stron barykady minęły pomyślnie. Nauczyłem się między innymi, że moja znajomość rosyjskiego absolutnie nie pomaga w czytaniu ze zrozumieniem tekstów napisanych w języku ukraińskim. Niby litery takie same, ale podobieństwo mniej więcej w tym momencie się kończy.

Oczywiście weryfikacja znajomości ukraińskiego nie była celem. Chodziło raczej o pomoc w dotarciu do żyjących jeszcze uczestników wysiedleń. Było też snucie planów, jak mogłaby wyglądać prezentacja książki, które w zamyśle zarówno sołtysa Pustkowa, jak i lidera społeczności nastawionej do Akcji Wisła znacznie bardziej negatywnie, mogłyby być świętem dla całej społeczności obu wsi: Pustkowa i Trzęsacza. O tym, jak ostatecznie wyglądała prezentacja, napiszę bliżej końca opowieści. Jeśli zaś idzie o listę nazwisk, to tu już zaczęły się schody. Na szczęście jakieś osoby na liście się pojawiły, jednak gwarancji, że zechcą rozmawiać nie było żadnych.

Wykorzystałem zatem okazję, aby zdobyć nieco wiedzy o samych wydarzeniach z 1947 roku. W tym celu zacząłem szukać historyków, którzy na ten temat chcieliby coś opowiedzieć. Wśród kandydatów był nawet profesor Antoni Dudek, jednak do naszego spotkania ostatecznie nie doszło, chyba głównie z winy pośredników. Tak niestety bywa często, gdy zależni jesteśmy od innych.

Ostatecznie doktor Alina Hutnikiewicz zgodziła się na wywiad, który później pozwoliła umieścić w książce. Nie ukrywam, że pomógł mi tutaj fakt bycia w samorządzie doktorantów Uniwersytetu Szczecińskiego. To była bardzo ciekawa rozmowa, która wiele wniosła do książki nie tylko z racji publikacji wywiadu, ale także ułatwienia w późniejszych rozmowach z uczestnikami Akcji Wisła. Pewne fakty, o których później wielokrotnie słyszałem, były mi znane i wiedziałem, jakich tematów z kim unikać lub jak pewne pytania formułować, by mieć szanse na uzyskanie odpowiedzi. Na tym bowiem cała sztuka moich rozmów polegała. Umieć tak prowadzić wywiad, by osoba po drugiej stronie mówiła. Nie było istotne, czy będzie to prawda,

czy subiektywne przemyślenie. Ważne, by mówiła od siebie, a nie wyuczone regułki na różnych spotkaniach czy wyczytane w książkach. Gdy faktografia nie wiąże autora i rozmówcy, nagle otwiera się przed publikacją niesamowita przestrzeń do odtwarzania spraw pozornie nieistotnych, wyjątkowych tylko dla danej jednostki, które jednak później, zgrupowane w jednej publikacji, dają fantastyczny obraz przeżyć i doświadczeń uczestników bardzo trudnych wydarzeń. Ponieważ nigdy nie wiesz, co kryje się za każdą z opowiadanych historii, więc nie wiesz, o co zapytać. Jeśli nie zapytasz, to rozmówca nie wie, co ma ci powiedzieć. Jeśli zadasz złe pytanie, to rozmówca wypadnie z rytmu, nie powie tego, co chciał, a często można stracić zaufanie i nabrać wody w usta. Taki wywiad, to jak stąpanie po polu minowym – albo przejdiesz cało, albo stąpniesz na minę i nieźle się rozerwiesz.

Przyszedł maj, jak co roku o tej samej porze. To miesiąc charakterystyczny w gminie Rewal, gdyż na początku w każdej praktycznie miejscowości odbywają się majowe festyny. Idea jest szczytna. Celem jest zabawić przybywających na długi weekend turystów. Prawda jest jednak taka, że mnie kojarzą się one wyłącznie z zimą. Nie pamiętam, jak żyję, cieplej majówki nad morzem. Czasami zdarzało się, że dało się do wieczora wytrzymać tylko przy ognisku, bo po zmierzchu temperatura spadała niemal do zera. Pamiętam też festyny, gdy padający deszcz przemoczył moje ubranie do bielizny, a do domu nie mogłem pójść, bo prowadziłem całą imprezę. Co ciekawe, tego samego dnia w głębi kraju ludzie narzekali na falę upałów...

Tego roku majówka była znośna. Postanowiłem wykorzystać ją na rozmowę z radą sołecką z prośbą o pomoc w dotarciu do nazwisk kilku osób, które udało mi się wyłuskać po lekturze ksiąg meldunkowych. Reakcja niektórych zaskoczyła mnie kompletnie. Jeden z członków rady zwyzywał mnie od smarkaczy, którzy próbują skłócić całą miejscowość. Argument o tyle ciekawy, że jak wspomniałem wcześniej, miejscowość już była skłócona. Pojawiły się też zarzuty o brak kompetencji oraz silna sugestia, abym projekt porzucił. Całą tyradę skwitowałem:

– Ukończ projekt, czy to się komuś podoba, czy nie, bo podpisałem umowę i zamierzam się z niej wywiązać.

Tak zaczął się mój konflikt z częścią rady sołeckiej, a szczególnie ze wspomnianym człowiekiem, przez którego kilka osób nigdy nie opowiedziało mi swojej historii. Były też inne kłopoty, ale o tym będzie jeszcze okazja napisać.

Pierwszą rozmowę do książki miałem z... pierwszym sołtysem Pustkowa. Pan Michał to wiekowy człowiek, ale wciąż w świetnej formie fizycznej.

Żona zmarła 20 lat wcześniej i od tego czasu mieszka samotnie. Jego pasją są jabłka, które późnym latem i wczesną jesienią rozdaje mieszkańcom. A ma co rozdawać, bo na jego posesji znajduje się wiele dorodnych jabłoni.

Od pana Michała dowiedziałem się o trudach życia w Bieszczadach, ale też i o radościach. Fajnie się rozmawiało. Przez prawie 3 godziny opowiadał o sprawach, które choć odległe w czasie, wciąż są niezwykle bliskich jego sercu.

Kilka tygodni później zgodził się ze mną porozmawiać wieloletni sołtys Trzęsacza – również przesiedleńca w ramach Akcji Wisła. Jego historia była znacznie bardziej „zakręcona”, bo i charakter miał mniej pokorny. W pewnym momencie nasza rozmowa utknęła w martwym punkcie. Doszło do tego, gdy pojawił się temat obozu w Jaworznie. Na pewno istnienie tego miejsca to ciemna strona historii naszego kraju. Pan Mikołaj, bo tak było mu na imię długo się wahał, aż w końcu poprosił, bym nie publikował nic na temat jego pobytu w obozie. Później, po kilkunastu, może więcej, dniach, zadzwonił i powiedział, że mogę napisać, jak tam trafił, ale to wszystko.

Temat Jaworzna powrócił po wielu tygodniach. Miałem wtedy wielki impas. Udało mi się zebrać ledwie kilka historii z dziesięciu, jakie zaplanowałem. Udało mi się dostać numer do osoby, która kiedyś w gminie Rewal mieszkała, ale już od wielu lat zamieszkuje gdzie indziej. Telefon odebrała jego żona. Wyjaśniłem o co mi chodzi. Pierwsza odpowiedź była negatywna. Jednak nie minął tydzień, aż małżonka mojego rozmówcy powiedziała, że zdołała go przekonać i żebym szybko przyjechał, nim się rozmyśli. I jak tu nie kochać kobiet?

Przy tej i wielu kolejnych okazjach, jakie miałem pisząc moje książki, przekonałem się, jak fantastycznie ludzie potrafią się otwierać w trakcie rozmowy. Zaczyna się od tego, że „ja nie wiem, co miałbym powiedzieć”, a kończy na tym, że gdy kończymy rozmowę, jest wielkie zdziwienie, że te 3 godziny minęły tak szybko. Tego popołudnia załapałem się nawet na wspinały rosół. Jedyny chłód, to temat Jaworzna. Mój rozmówca poprosił o to, aby tego tematu nie poruszać.

Znów trzeba było cierpliwości. Dwa tygodnie później telefon z informacją, że jednak dane mi będzie poznać, jak wyglądało życie w obozie.

Gdy słucha się takich historii podczas bezpośredniej rozmowy, to nie jest to aż takie trudne. Opowiadający mają już pewien dystans i nie okazują wielkich emocji, więc jest mi łatwiej uodpornić się na to, co słyszę. Gdy jednak trzeba potem spisać nagranie, zaczyna być ciężko. Jestem wtedy sam na sam z nagraniem. Są słuchawki na uszach i słowa, które pojawiają się zniemacka

na ekranie komputera z każdym moim kliknięciem w klawiaturę. Przy tej okazji, czy później spisując historie sybiraków czy pionierów zasiedlających Ziemię Odzyskane, musiałem spisać wiele takich opowieści, jakich nigdy nie chciałybym przeżyć osobiście. Takich opowieści nie da się spisać naraz. Trzeba zrobić sobie przerwę, bo mózg nie daje rady. Obrazy, które kreśli wyobraźnia powodują ogromne cierpienie. Może nie każdy tak to przeżywa, ale ja tak. Do spisania bardziej dosadnych historii musiałem podchodzić kilkukrotnie.

Czym był obóz w Jaworznie? Czymś w rodzaju obozu koncentracyjnego dla ludzi wysiedlanych, których władza ludowa zakwalifikowała jako niebezpiecznych. Trafiali tam zarówno ci, których rozpoznano jako przestępców, jak i ci, którzy podczas tygodni transportu nie byli posłuszni wobec rozkazów funkcjonariuszy KBW lub żołnierzy. Zamykano tam także tych, którzy z wagonów próbowali uciekać. Jak można się domyślić, pobyt w obozie różami nie był usłany. Ciężka praca połączona była z przesłuchaniami, które obecnie na pewno nie dostałyby przyzwolenie instytucji humanitarnych. Pobyt w Jaworznie odciskał się piętnem na przyszłości przesiedlonych, ponieważ zapis znajdował się „w papierach”, co utrudniało podjęcie zatrudnienia na wielu stanowiskach.

Czas mijał szybko, kolejne rozmowy się odbywały. Jesień nastąpiła, gdy zsiadłem do rozmowy z moją ciotką, która była małym dzieckiem, gdy została przesiedlona. Jesień nad morzem, to fantastyczna pora roku. Koniecznie musicie to sprawdzić na własnej skórze. Woda wychładza się wolniej niż ląd, stąd temperatury za dnia często bywają wyższe niż w głębi lądu. Poranki bywają niezwykle rześkie i zachęcają do spacerów po plaży. Pojawiają się też sztormy, czyli momenty, gdy morze budzi się z letniej drzemki. Miejscowi mawiają, że Neptun zdenerwowany wyrzuca na brzeg wszystkie śmieci, które przez lato turyści wrzucają do wody. Nie wiem, czy to prawda, ale gdybym był na jego miejscu to pewnie tak samo bym uczynił.

Tak krótka opowieść o sztormie pojawia się tutaj nie bez przyczyny. Przesiedleńcy trafili nad morze późną wiosną, już po sezonie sztormowym. Zapytałem zatem ciotkę, czy pamięta swój pierwszy sztorm.

– Nigdy tego nie zapomnę. Wszyscy byliśmy przerażeni. Nikt z nas nie wiedział, jak to wygląda, bo nigdy nie byliśmy nad morzem – wspominała.

– Ziemia się trzęsła. Nie wiedzieliśmy, czy zostać, czy uciekać. Mieszaliśmy wtedy w tamtym domu nieopodal ruin, niemal na samym skraju skarpy. To było straszne.

Może wydać się to zaskakujące, ale pewna trauma u niej pozostała. Wprawdzie mieszka w Trzęsaczu, w domu, do którego dziadkowie zostali

przeniesieni w latach 60. jednak gdy tylko nadciąga sezon sztormowy przenosi się do mieszkania w Trzebiatowie, kilkanaście kilometrów dalej, byleby tylko nie słyszeć huku szalejącego Bałtyku.

Morze było dla osób wysiedlonych czymś tak nowym, że nie tylko w czasie sztormów nie wiedzieli, jak się zachować. Jak wynikało z innych opowieści ludzie pierwszego lata sami nigdy nie chodzili na plażę, aby było komu pospieszyć na ratunek, gdyby na przykład kogoś morze wciągnęło. Teraz brzmi to śmiesznie, jednak kiedyś, w czasach bez internetu czy telewizji, nie było skąd brać wiedzy na temat tego, jak wygląda morze. Wielu z przesiedleńców przenosiło się w głąb lądu przy pierwszej możliwej okazji. Potem żalowali, bo turystyka zagwarantowała rozwój i lepsze życie tym, którzy przezwyciężyli strach.

Zbliżając się do końca tej opowieści, podzielę się z wami paroma spostrzeżeniami z tych rozmów, które udało mi się przeprowadzić.

Pierwsza rzecz, którą pamiętam to inne słownictwo. Kilka terminów, jak na przykład „Wiślacy” czy „zabugany” wciąż dźwięczy mi w głowie i jednoznacznie kojarzy mi się z tymi osobami. Było to o tyle ważne, że każdy historia w książce opisana była w taki sposób, aby możliwie oddać charakterystykę sposobu wypowiedzania się każdego z bohaterów. Dopiero później, podczas pracy z redaktorką, dowiedziałem się, że fachowo mówi się na to idiolekt. Parokroć później słyszałem od czytelników słowa „Gdy to czytałam, to miałam w głowie głos mojej babci”. Możecie mi wierzyć lub nie, ale takie słowa były wielkim komplementem dla mnie jako autora takiej publikacji.

Druga rzecz, to zaufanie, jakie udało się zbudować wśród tych ludzi. Z każdym telefonem, że coś się komuś jeszcze przypomniało, robiło mi się rażniej.

Wreszcie ostatnia rzecz, którą chciałbym się podzielić, to coś, czego nie odczuwają zwykle filmowi czy książkowi bohaterowie poszukujący tajemnic ukrytych w zakamarkach pamięci ostatnich żyjących świadków. Mam na myśli moment, kiedy mogę składać moją własną książkę. Zwykle wydawnictwa robią to za autorów, ale ja lubię robić to sam. Przeżywam wtedy każdą stronę na nowo. Najpierw było to wrażenie wywołane podczas rozmowy, potem podczas przepisywania nagrania. Jednak dopiero wtedy, gdy słowa pojawiają się na ekranie komputera w takiej formie, w jakiej będzie to potem widział każdy czytelnik, zaczynam czuć, że nie jestem tylko zwykłym przepisywaczem. Czuję wtedy, że rzeczywiście coś tworzę i ten akt tworzenia dzieje się na moich oczach.

Opowiadałem wam o konflikcie z członkiem rady sołeckiej z Pustkowa? To teraz czas na pointe tej historii. Publikacji książki nie wybaczył mi nigdy. Do tego stopnia, że storpedował wszystkie próby, aby z prezentacji książki zrobić festyn skierowany dla mieszkańców, tak jak to potem miało miejsce w kilku innych przypadkach. Imprez z wielką, jak na lokalne możliwości, pompą. Z udziałem zaproszonych VIP-ów z powiatu, z kwiatami i darmowymi egzemplarzami dla tych, którzy w książce się pojawili, z wypowiedziami wójta, z odczytywaniem fragmentów książki, wreszcie z poczęstunkiem okraszonym występem artystycznym.

Zmienił się sołtysi w Pustkowie, w Trzęsaczu, zmienił się wójt w gminie, a imprezy dla upamiętnienia wydarzeń z 1947 roku nie było i już raczej nie będzie. Część osób, z którymi rozmawiałem, nigdy książki nie dostało, choć im się należała, zgodnie z moimi ustaleniami z władzami gminy. A to wszystko przez kaprys jednego człowieka. Kto na tym stracił? Odpowiedź nasuwa się sama.

Każda dobra historia ma swój epilog. Ta również. Następnego lata, już po wydaniu książki, postanowiłem pojechać w Bieszczady i zobaczyć na własne oczy tereny, o których tyle słyszałem od moich rozmówców. Wybraliśmy się rodzinnie. Czterech kuzynów, z których tylko jeden, najstarszy, był kiedykolwiek w tamtej części Polski.

To była typowa podróż sentymentalna. Wrażenia były niezapomniane. Pamiętam spacer po łące, gdzie staraliśmy się odszukać miejsce, gdzie stał dom moich dziadków. Pomogli nam ludzie, którzy obecnie nieopodal mieszkają. Nawet pamiętali mojego dziadka i babcię. Pamiętali też, gdzie stał wspomniany budynek. A przynajmniej mniej więcej pamiętali, bo trudno to odtworzyć po kilkudziesięciu latach. Pamiętajmy, że wszystko, co po przesiedleniu zostało, albo zostało spalone, albo zalane wodą podczas budowy zapór w Solinie i Myczkowcach. Z tamtych czasów ostała się jedynie podziemna spiżarnia, gdzie dziadkowie oraz ich sąsiedzi, bo spiżarnia była na cztery rodziny, chowali żywność w chłodnym miejscu. Miejscowa ludność nie miała lodówek, więc posiadanie chłodnych miejsc, gdzie można było przechowywać jedzenie, było koniecznością. Oprócz ziemianek, korzystano także z potoków górskich, które również świetnie chłodziły żywność.

Większość poznanych tam ludzi, szczególnie tych starszych, mocno przeżywa wysiedlenia. Najbardziej boli ich historia zabójstwa generała Świerczewskiego. Rewanżem za ten czyn władze polskie tłumaczyły przez lata przeprowadzenie Akcji Wisła. W ostatnich latach na jaw wychodzą nowe fakty, nadające tym wydarzeniom zupełnie nowy sens. Pomnik generała w Jabłonkach

został w 2018 roku rozebrany. Nam udało się go jeszcze zobaczyć. Pomazany farbą, pełen napisów wyrażających, co miejscowi na temat Świerczewskiego myśleli i myślą. Dla wielu było obrazą, że ten monument tam stał. Dla innych, jak dla nas, stanowił przypomnienie wydarzeń, które położyły się cieniem na historii Bieszczad. Z drugiej strony nie byłoby nas, nie tutaj, gdyby nie Akcja Wisła.

Tego samego dnia pojechaliśmy też na cmentarz w Rajskim, aby zobaczyć grób, gdzie pochowani zostali pradziadek i prababcia. Sam dojazd był utrudniony, bo w pewnym momencie gruntowa droga się kończyła, a odległość do cmentarza trzeba było pokonać piechotą, idąc przez czyjeś pole uprawne. Nekropolia była mocno zarośnięta, a po wielu mogiłach nawet ślad nie został. Wujek, który służył tego dnia za przewodnika, pamiętał tylko brzoźki, które rosły nieopodal grobu. Tylko jak je teraz znaleźć, brodząc w upale przez sięgające po pas chaszczę? Zajęło nam to prawie godzinę. Nie wiem, czy potraficie sobie wyobrazić, jak smutno jest modlić się do kępy krzaków, która porastała miejsce prawdopodobnego pochówku kogoś z waszej rodziny. Ja już znam to uczucie i nikomu nie będę polecał.

Na wzgórzu, na terenie cmentarza kiedyś stała świątynia grekokatolicka. Przetrwała lata mimo tego, że nikt tam po wysiedleniach nie zaglądał. Przetrwała mimo zalania miejscowości przez Jezioro Solińskie. Zburzono ją dopiero w 1983 roku. Gdyby wytrwałą jeszcze parę lat, do upadku komunizmu, może stałaby do dziś... W tej chwili stoi tylko metalowy krzyż wbity w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się ołtarz, oraz kilka betonowych fragmentów prawdopodobnie fundamentów świątyni. O tym, jak wyglądała, przypomina jedynie zdjęcie na tablicy pamiątkowej postawionej przy dawnym wejściu na cmentarz. Przykłady, że ktoś jeszcze o tym miejscu pamięta, są doprawdy nieliczne. Jakakolwiek nie byłaby przeszłość, to wciąż fragment polskiej historii. Zapomniany, czekający aż kolczaste chaszczę przykryją całość niczym dywan, pod który wielu chciałoby zamieść wydarzenia z 1947 roku.

* * *

Powyższa opowieść powstała z zebrania w całość faktycznych wydarzeń, których efektem były trzy publikacje:

Łonyszyn, P. (2012). *Sybiracy gminy Rewal*. Rewal: Gminny Ośrodek Kultury w Rewalu.

Łonyszyn, P. (2014). *Akcja Wisła we wspomnieniach mieszkańców*. Rewal: Gminny Ośrodek Kultury w Rewalu.

Łonyszyn, P. (2018). *Nasze Niepodległe Niechorze*. Niechorze: Muzeum Rybołówstwa Morskiego w Niechorzu.

SUMMARY**A story about people whom the ground shook**

The Operation Vistula has an exceptional place in the post-war history of Poland. It is difficult to explain why. One of the reasons could be the fact that the wounds after these events have not healed and it is impossible to talk about what happened in the Bieszczady in the second half of the 1940s in an emotionless way. The following story is not a historical but rather a story about a story. To be more precise, it is a story about writing a book based on memoirs. It reveals everything that a reader of a book does not normally see. The main characters of the book were forced displaces due to the Operation Vistula presented in their stories, impressions, feeling and issues that they encountered in the so-called Recovered Territories whereas this story focuses on the book author and his experiences.

The story is not factual, although all the events are authentic, however, with some deliberate deviations to better build up readers' emotions. Does it, then, complete the book with the stories of forced displaces? Everyone will have to answer this question on their own.

KEYWORDS: Recovered Territories, memoirs, Boykos, Lemkos, forced displacees